

# Harrison Bergeron

## Kurt Vonnegut

Był rok 2081 i wszyscy wreszcie stali się równi. Nie tylko wobec Boga i prawa. Byli równi we wszystkim. Nikt nie był mądrzejszy od innych. Nikt nie wyglądał lepiej. Nikt nie był silniejszy ani szybszy. Równość ta była zasługą 211, 212 i 213 poprawki do konstytucji, a także niesłabnącej czujności agentów Ministerstwa Równości Stanów Zjednoczonych.

Niektóre aspekty życia nie były jednak wciąż takie jak być powinny. Ludzie wciąż na przykład wściekali się, że kwiecień to jeszcze nie wiosna. I to właśnie w tym dżdżystym miesiącu ludzie z MR zabrali Harrisona, czternastoletniego syna Hazel i George'a Bergeronów.

Było to oczywiście godne współczucia, George i Hazel nie mogli jednak zbyt intensywnie o tym myśleć. Inteligencja Hazel była doskonale przeciętna, co oznaczało, że mogła skupić na czymś myśli jedynie na krótką chwilkę. Za to George, którego inteligencja wyraźnie przewyższała normę, miał w uchu małe wyrównujące radyjko. Prawo nakazywało mu je nosić przez cały czas. Nastawione było na rozgłoszenie rządową. Co mniej więcej dwadzieścia sekund nadajnik wysyłał jakiś ostry dźwięk, aby ludzie pokroju George'a nie wykorzystywali swojej niesprawiedliwej przewagi intelektualnej.

George i Hazel oglądali telewizję. Po policzkach Hazel płynęły jeszcze łzy, ale chwilowo nie pamiętała ich przyczyny.

Na ekranie były baletnice.

W głowie George'a odezwał się brzęczyk. Jego myśli rozpierzchły się panicznie, jak włamywacze na dźwięk alarmu.

– Bardzo ładnie tańczyły, naprawdę ślicznie – powiedziała Hazel.

– Co proszę? – odparł George.

– Taniec. Ładny był – powtórzyła.

– No – przytaknął. Starał się pomyśleć o tancerkach. Tak naprawdę nie były za dobre. Nie lepsze niż ktokolwiek inny na ich miejscu. Objuczone były ciężkimi pasami i workami śrutu, a na twarzach miały maski, tak by nikt na widok pełnego gracji gestu czy ładnej buzi nie poczuł się jak coś, co kot przytargał ze śmietnika. George rozważał niejasną koncepcję, że może tancerki nie powinny podlegać wyrównaniu. Nie dane mu było jednak dojść za daleko, bo zaraz nowy hałas w uchu rozsypał jego myśli.

Skrzywił się. Tak jak dwie z ośmiu baletnic.

Hazel zauważyła grymas na jego twarzy. Nie miała wyrównywacza, więc musiała zapytać George'a o ten ostatni dźwięk.

– Brzmiało jakby ktoś zbił młotkiem butelkę od mleka. – wyjaśnił George.

– To musi być bardzo ciekawe, te wszystkie dźwięki – powiedziała Hazel z lekką zazdrością. – Czego to nie wymyślą.

– No – odparł.

– Tylko, że gdybym ja była Ministrem Równości, wiesz, co bym zrobiła? – zapytała Hazel. W gruncie rzeczy była dosyć podobna do Ministra Równości, kobiety nazwiskiem Diana Moon Glampers. – Gdybym była Dianą Moon Glampers – kontynuowała – dałabym dzwony w niedzielę, tylko dzwony. Jakby na cześć religii.

– Z samymi dzwonami mógłbym myśleć – odparł George.

– No to je puścić bardzo głośno – powiedziała Hazel. – Chyba byłabym niezłym Ministrem Równości.

– Jak każdy – skwitował George.

– Kto wie lepiej ode mnie, co jest normalne? – nalegała Hazel.

– Racja – odparł George. Zrodziła się w nim niepewna myśl o ich dalekim od normalności synu, który teraz siedział w więzieniu, o Harrisonie, ale salwa honorowa w jego głowie szybko ją ucięła.

– Kurcze – powiedziała Hazel. – To było niezłe, co?

Było na tyle niezłe, że George całkiem zsunął, zaczął się trząść, a w kącikach jego zaczerwienionych oczu pojawiły się łzy. Dwie z ośmiu baletnic osunęły się na podłogę studia, trzymając się za skronie.

– Bardzo źle wyglądasz – powiedziała Hazel. – Może się wyciągniesz na kanapie, złociutki, położysz worek wyrównawczy na poduszce. – Mówiła o ponad dwudziestu kilogramach śrutu w płóciennym worku przytroczonym do jego szyi. – No odłóż na chwilę ten worek – nalegała. – Nie obchodzi mnie, że przez chwilę nie będziemy równi.

George zważył worek w rękach.

– Nie przeszkadza mi – powiedział. – Już go nie zauważam. Jest częścią mnie.

– Taki byłeś ostatnio zmachany. Całkiem wypompowany – powiedziała Hazel.

– Może dałoby radę zrobić dziurkę w dnie worka i wyjąć trochę tego ołowiu. Kilka kulek.

– Dwa lata więzienia i dwa tysiące dolarów grzywny za każdą wyjętą kulkę – odparł George. – Średni interes.

– Jakbyś tak mógł kilka wyjmować, jak wracasz z roboty – ciągnęła Hazel.

– No wiesz, tu się z nikim nie ścigasz. Tylko odpoczywasz.

– Jeśli próbowałbym się wymigać od kary – powiedział George – inni też mogliby jej unikać. I całkiem niedługo byłibyśmy z powrotem w tych ciemnych czasach, gdy każdy z każdym rywalizował. Nie chciałabyś tego, prawda?

– No pewnie, że nie – odparła Hazel.

– No widzisz – powiedział. – Kiedy zwykli ludzie zaczynają łamać prawa, co według ciebie dzieje się ze społeczeństwem?

Gdyby Hazel nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, George na pewno nie byłby jej teraz w stanie pomóc. W jego głowie wyla syrena.

– Chyba by się rozwalilo całe – powiedziała Hazel.

– Co by się zrobiło? – zapytał George obojętnie.

– Społeczeństwo – powiedziała z wahaniem Hazel. – O tym chyba mówiłeś, nie?

– Kto wie? – odparł.

Program w telewizji przerwano nagle wiadomościami. Na początku trudno było się zorientować, o co chodzi, prezenter bowiem, jak wszyscy spikerzy, miał poważną wadę wymowy. Przez około pół minuty bardzo podniecony próbował powiedzieć "Dobry wieczór państwu."

Poddał się w końcu i dał informacje do przeczytania jednej z baletnic.

– Nic się nie stało – powiedziała Hazel o spikerze. – Przynajmniej próbował. To się liczy. Starał się, jak mógł, z tym, co mu Bóg dał. Powinien dostać podwyżkę za takie starania.

– Dobry wieczór państwu – powiedziała baletnica, czytając z kartki. Musiała być niezwykle piękna, bo maska, którą miała na twarzy była wyjątkowo szpetna. Widać było wyraźnie, że była też najsilniejszą i najzgrabniejszą z tancerek, jej worki wyrównawcze były bowiem tak wielkie, jak te noszone przez stukilogramowych mężczyzn.

Od razu też musiała przeprosić za swój głos, którego używanie było z jej strony niesprawiedliwe. Jej głos był ciepłą, jasną, ponadczasową melodią.

– Przepraszam – powiedziała, i zaczęła od początku, głosem, który jej nie wywyższał.

– Harrison Bergeron, lat czternaście – zaskrzeczała – uciekł właśnie z więzienia, gdzie został osadzony pod zarzutem planowania zamachu stanu. Jest geniuszem i lekkoatletą, jest niedorównany i bardzo niebezpieczny.

Na ekranie ukazała się policyjna fotografia Harrisona Bergerona, najpierw do góry nogami, potem bokiem, znowu do góry nogami, a w końcu prawidłowo. Zdjęcie pokazywało całego Harrisona na tle podziałki. Miał równe dwa metry wzrostu.

Reszta sylwetki Harrisona była połączeniem kostiumu na Halloween i sklepu metalowego. Nikt nigdy nie miał tak ciężkich wyrównywaczy. Wyrastał z nich szybciej niż MR wymyślało nowe. Zamiast małego radyjka wyrównawczego nosił ogromne słuchawki i okulary o grubych pofalowanych soczewkach. Miały one nie tylko uczynić go półślepym, ale także spowodować rozdzierające bóle głowy.

Cały był obwieszony żelastwem. Zwykle zachowywano symetrię, jakiś wojskowy porządek w wyrównywaczach dla silnych ludzi, Harrison wyglądał jednak jak chodzące skup złomu. W wyścigu życia Harrison musiał dźwigać sto pięćdziesiąt kilo.

W celu wyrównania jego wyglądu funkcjonariusze MG kazali mu nosić na nosie czerwoną gumową piłeczkę, golić brwi, a równe białe zęby zakrywać nieregularnie umieszczonymi czarnymi zaślepkami.

– Jeśli zobaczycie państwo tego młodzieńca – mówiła baletnica – proszę nie próbować, powtarzam: nie próbować wdawać się z nim w rozmowę.

Nagle zabrzmiał zgrzyt wyrywanych z zawiasów drzwi.

Z ekranu dobiegły wrzaski i wykrzykiwane w zamieszaniu polecenia. Zdjęcie Harrisona Bergerona zaczęło podskakiwać, jakby tańczyło do rytmu trzęsienia ziemi.

George Bergeron poprawnie rozpoznał ten łoskot, co nie mogło dziwić. Wiele razy jego własny dom tańczył do tej pełnej trzasków melodii.

– Mój Boże – powiedział George – to musi być Harrison.

Ta myśl znikła jednak na dźwięk wypadku samochodowego w jego głowie. Gdy George zdołał znów otworzyć oczy, zdjęcia już nie było. Ekran wypełniał teraz Harrison z krwi i kości.

Pobrzękując, groteskowy, ogromny Harrison stał na środku studia. W dłoni ścisnął wciąż klamkę wyrwanych drzwi. Baletnice, technicy, muzycy i spikerzy klęczeli przed nim skuleni, gotując się na śmierć.

– Jestem Cesarzem! – wykrzyknął Harrison. – Słyszycie? Jestem Cesarzem! Wszyscy muszą robić bez gadania to, co rozkazuję! – Tupnął tak, że zatrzęsło się studio.

– Nawet gdy tu stoję – grzmiał – oszpecony, okaleczony, schorowany, jestem władcą potężniejszym niż ktokolwiek przede mną! A teraz spójrzcie kim mogę być!

Harrison porwał swoją uprząż, jakby była z mokrej bibuły, zdarł pasy, które były zdolne utrzymać dwie i pół tony.

Wyrównujący Harrisona złom zleciał z hukiem na podłogę.

Włożył kciuki w ucho kłódki utrzymującej wyrównywacze na jego głowie. Pękło jak łądoga selera naciowego. Roztrzaskał o ścianę słuchawki i okulary.

Gdy wyrzucił gumowy nos, ukazał się mężczyzna mogący wzbudzić respekt Thora, boga piorunów.

– Teraz wybiorę Cesarzową! – obwieścił, patrząc na skulonych ludzi. – Niech pierwsza kobieta, która odważy się wstać, posiadzie tytuł i tron!

Po chwili, kołysząc się jak wierzba, wstała jedna z baletnic. Harrison wyjął jej z ucha wyrównywacz intelektu, i z zadziwiającą subtelnością zerwał jej wyrównywacze wyglądu. W końcu zdjął jej maskę. Była olśniewająco piękna.

– A teraz – powiedział Harrison, biorąc ją za rękę – pokażemy ludziom, co to znaczy taniec! Muzyka! – rozkazał.

Muzycy wdrapali się z powrotem na krzesła, a Harrison ich też obrał z wyrównawczy.  
– Grajcie dobrze – powiedział do nich – a będziecie baronami, książętami i hrabiami.

Zabrzmiała muzyka. Z początku zwyczajnie – tanio, głupawo i fałszywie. Ale Harrison porwał ze stanowisk dwóch z nich i pomachał nimi jak batutą, śpiewając to, co chciał usłyszeć. Usadził ich z powrotem na miejscach.

Muzyka ruszyła od początku, tym razem już o wiele lepiej. Harrison wraz z Cesarzową przez chwilę tylko słuchali z powagą, jakby zestrzajali bicie swoich serc z muzyką.

Stanęli na palcach.

Harrison ujął jej wąską talię w swoje wielkie dłonie, pozwalając jej poczuć nieważkość, której za chwilę miała doświadczyć.

A potem, w wybuchu radości i gracji, wystrzelili w powietrze!

Łamali nie tylko prawa kraju. Prawo grawitacji i prawa rządzące ruchem też dla nich nie istniały.

Zataczali koła, wirowali, okręcali się, wywijali fikołki, korkociągi i śruby.

Wyskakiwali jak kozice na księżycu.

Sufit studia znajdował się na wysokości dziesięciu metrów, ale każdy wyskok zbliżał tancerzy do niego.

Bez wątpienia chcieli ucałować sufit.

I zrobili to.

I wtedy, poskramiając grawitację miłością i wolną wolą, pozostali zawieszeni kilkanaście centymetrów pod sufitem i wymienili długi pocałunek.

W tym momencie do studia wpadła Diana Moon Glampers, Minister Równości, z dwururką kaliber dziesięć w rękę. Wypaliła dwukrotnie i zanim Cesarz i Cesarzowa opadli na podłogę, już nie żyli.

Diana Moon Glampers przeładowała. Wycelowała w muzyków, mówiąc im, że mają dziesięć sekund na założenie wyrównawczy.

Wtedy telewizor Bergeronów przepalił się.

Hazel odwróciła się do męża, by to skomentować. Ale George wyszedł do kuchni po piwo.

Wrócił z puszką, zatrzymał się na chwilę, gdy wstrząsnął nim sygnał wyrównawczy, i usiadł z powrotem.

– Płakałaś? – zapytał Hazel.

– No – odparła.

– Dlaczego? – powiedział.

– Nie pamiętam – odpowiedziała. – Coś strasznie smutnego w telewizji.

– Co? – zapytał.

– Wszystko mi się jakby miesza w głowie – powiedziała.

– Zapomnij o smutkach – powiedział.

– Zawsze tak robię – uspokoiła go Hazel.

– Zuch dziewczyna – powiedział George. Skrzywił się. Ktoś bawił się w jego głowie nitownicą.

– Kurcze, ten to chyba był niezły – powiedziała Hazel.

- Bez dwóch zdań – odparł.
- Kurcze, od razu wiedziałam, że niezły.